MAŁY MISTER

ILUSTROWANE
CZASOPISMO
DLA NAJMŁODSZYCH

KRAKÓW * ROK SZKOLNY 1942/43 * NR 6

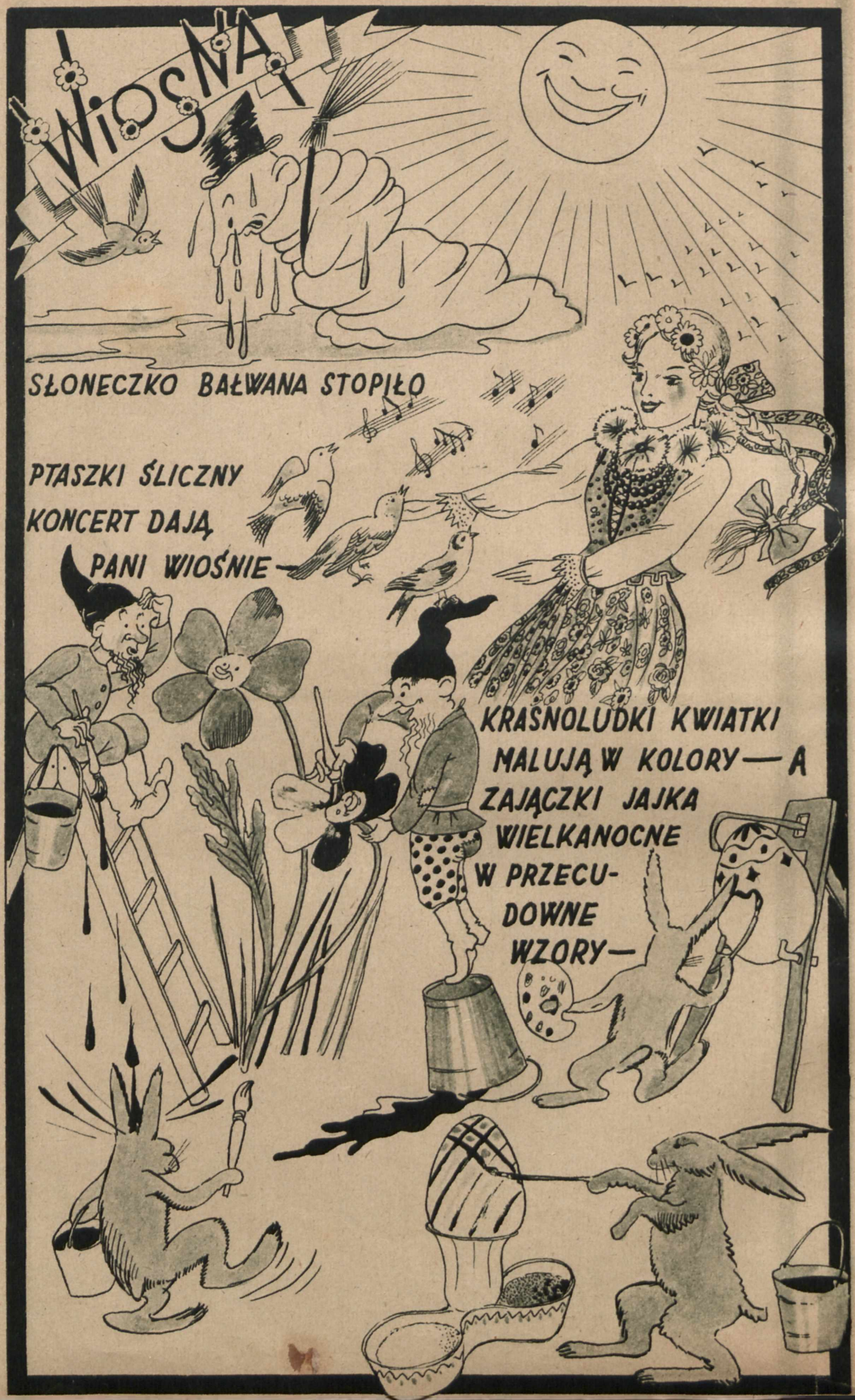
WIOSNA!
SŁONECZKO BAŁWANA STOPIŁO
PTASZKI ŚLICZNY KONCERT DAJĄ PANI WIOŚNIE—
KRAŚNOLUDKI KWIATKI MALUJĄ W KOLORY—A ZAJĄCZKI JAJKA WIELKANOCNE W PRZECUDOWNE WZORY—

Ukarane łakomstwo

W wielkiej kamienicy mieszkał pan, który miał oswojoną małpkę. Było to pocieszne zwierzątko. Rozweselało cały dom.

Pan bardzo lubił swoją Tafi. Tak się małpka nazywała. Pozwalał jej na wiele rzeczy. Na jedno tylko nie chciał się zgodzić, — żeby się objadała. Tafi wiedziała o tym i była posłuszna.

Miała rozmaite upodobania. Bardzo chętnie się myła, ale tylko wodą. Mydło uważała za przysmak. Jeżeli dostała kawałek, zjadała go z wielkim apetytem.

Ogromnie lubiła towarzystwo.

Wszystkie dzieci w kamienicy znały małpkę i często ją odwiedzały. Ale największą jej miłością cieszyły się dzieci sklepikarza: Krysia, Pawełek i Jacuś.

Gdy raz dzieci odwiedziły pana i jego małpkę, Tafi wyszła do nich w okularach i podwiązana, jakby ją bolały zęby. Wykrzywiała się przy tym okropnie. Dzieci w śmiech, a pan powiada:

— Tafi mnie naśladuje. Wczoraj miałem ból zębów i widocznie trochę się krzywiłem. Ona to podpatrzyła.

Małpka słucha, co pan mówi. Rusza brwiami i patrzy na niego, a kiedy powiedział: „Tafi, grzebień", skoczyła jednym susem i siadła mu na plecach.

Czesze go, gładzi. Potem mu się przygląda, poprawia. Wreszcie przynosi lusterko. Ale kiedy zobaczyła w nim siebie, znów zaczęła robić miny. Złości się i piszczy. Myślała, że to jakaś inna małpa. Dzieci miały nielada zabawę.

Przed Świętami Wielkanocnymi zdarzyło się, że Tafi nie było cały dzień. Pan myślał, że zginęła.

Podczas tego przybiegły dzieci i opowiadały dziwne rzeczy. Podobno w drugiej kamienicy na piętrze był duch. Prawdopodobnie wspiął się po rynnie i wszedł na balkon. Pozjadał placki świąteczne, które się chłodziły, a potem dostał się do pokoju i zrobił ogromne spustoszenie wśród flaszek z napojami przygotowanymi na święta.

Pan wysłuchał opowiadania i powiedział:

— Wiem, kto był tym duchem.

Wieczorem przyszła Tafi. Trzymała się za brzuszek, zataczała się i stękała. Dzieci biegły za nią myśląc, że znowu kogoś naśladuje.

Ale Tafi siadła przy ścianie i za-

kryła sobie oczy. Wstydzi się. Chociaż jest tylko zwierzątkiem, wie, że źle zrobiła. W pewnej chwili przybiega na czterech łapach do pana i zaczyna się łasić. Przeprasza go.

Dzieci patrzyły zdziwione. A pan powiedział:

— Teraz duch będzie leżał w łóżku. Dostanie całą szklankę rycynusu i w święta będzie pościł!

Tym duchem była Tafi, Tafi łakomczuch!

Maria Zagórowska.

Z KURKIEM I Z GAIKIEM

Wesoła dzisiaj była lekcja.

Opowiadały dzieci, jak to w różnych stronach naszego kraju obchodzi się Święta Wielkanocne.

Najwięcej było opowiadania i śmiechu, gdy mówiono o dyngusie. Ale najbardziej się dzieciom podobało chodzenie z kurkiem i z gaikiem.

Zaraz po pauzie zrobili chłopcy naradę. Postanowili sporządzić kurka. Już się umówili, gdzie i co będą robić.

Maciek z Józkiem Kowalikiem ulepią kurka z gliny i przystroją go piórami. A Jędrek, Romek i Walek mają zrobić podstawkę z drzewa i kółka. Oni też wystrugają z drzewa piękne laleczki: krakowiaka i krakowiankę, górala i góralkę, a także parkę łowiczan. Pomalują je pięknie i przymocują do podstawki. Gdy kurek będzie jechał, laleczki będą tańczyły w koło niego.

Reszta chłopców uczy się starego, dawnego wierszyka, śpiewanego przy tej okazji:

A my z kurkiem rano wstali,
Pierwszą rosę otrząsali.
Nasz kureczek rano pieje,
Wstańcie panny do kądzieli,
A wy, matki, jeszcze śpijcie,
Bo się przez dzień narobicie.

Dziewczęta tymczasem urządzają gaiczek.

Robią szmacianą lalkę i szykują dla niej piękne stroje. To będzie Królowa Wiosna.

W Wielką Sobotę przygotują gaik. Gałąź choiny ustroją pięknie we wstążki i kwiaty z papieru. Na jej szczycie umocują Królowę-Wiosnę.

Dziewczęta będą śpiewać piosenkę:

Do tego domu wstępujemy,
Zdrowia, szczęścia winszujemy,

Zdrowia, szczęścia i wszystkiego,
Od Jezusa, od samego,
Na to nowe latko,
Co by poszło gładko.
Nowe latko, nowy maj,
Boże wam szczęście daj!

Już wyćwiczyły dziewczynki z panią śpiew.

W poniedziałek wielkanocny chodzić będą po wsi: chłopcy z kurkiem, a dziewczęta z gaikiem.

B. J.

O żółtym kogucíku

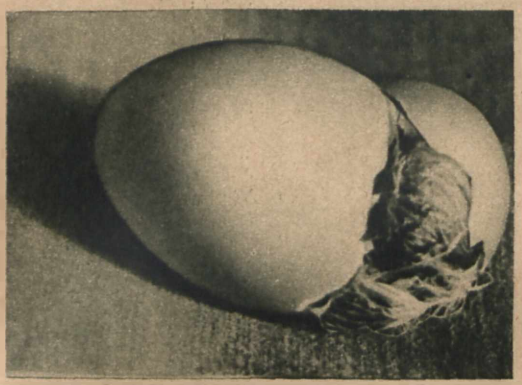

Basia maluje pisanki.

Ciap, ciap... kapie wosk na jajko. Ciap, ciap... kapie na sukienkę.

Ta pisanka dla mamusi. Ta dla tatusia. Ta dla siostrzyczki Tereski, ta dla braciszka Janka. A ta...

Bęc!

Wymknęło się jajko z rączek Basi i upadło na podłogę. Zrobiła się z niego brzydka, żółta plama.

I co teraz będzie? Zabrakło Basi jajka na pisankę dla siebie.

A tam w kącie siedzi czarna kura na białych, okrąglutkich jajkach. Więc idzie Basia do kury i prosi:

— Kuro, kurko, kureczko, daj mi jajeczko!

— Nie mogę — mówi kura. — Z tych jajeczek na święta będą żółte kurczęta.

— O, jej! — dziwi się Basia.

Nic nie szkodzi, że nie będzie dla niej kolorowej pisanki. Poprosi mamusię, żeby jej dała jedno malutkie, żółciutkie kurczątko.

Basia wkłada popisane woskiem jajko do farb. Jedno do czerwonej, drugie do zielonej. Trzecie do niebieskiej. Czwarte do żółtej.

A tymczasem w białych jajeczkach czarnej kury zaczęło coś pukać:

— Stuk, stuk, stuk!

Najpierw cicho, cichutko. Potem głośniej. Wreszcie całkiem głośno:

— Stuk, stuk, stuk!

Aż pękła skorupka jednego jajka i wygramolił się żółty kogucik.

— Oj, jak ten kogucik wygląda!

Piórka ma mokre i posklejane, ledwie się trzyma na chudych nożętach. Tuli się pod skrzydło mamy kury i piszczy cichutko:

— Pi, pi...

A tu pęka jedno jajko po drugim. Wychodzą z nich mokre, brzydkie kurczęta. A mama-kura rozkłada szeroko skrzydła i je grzeje. Kurczęta schną. Z mokrych, brzydkich po-

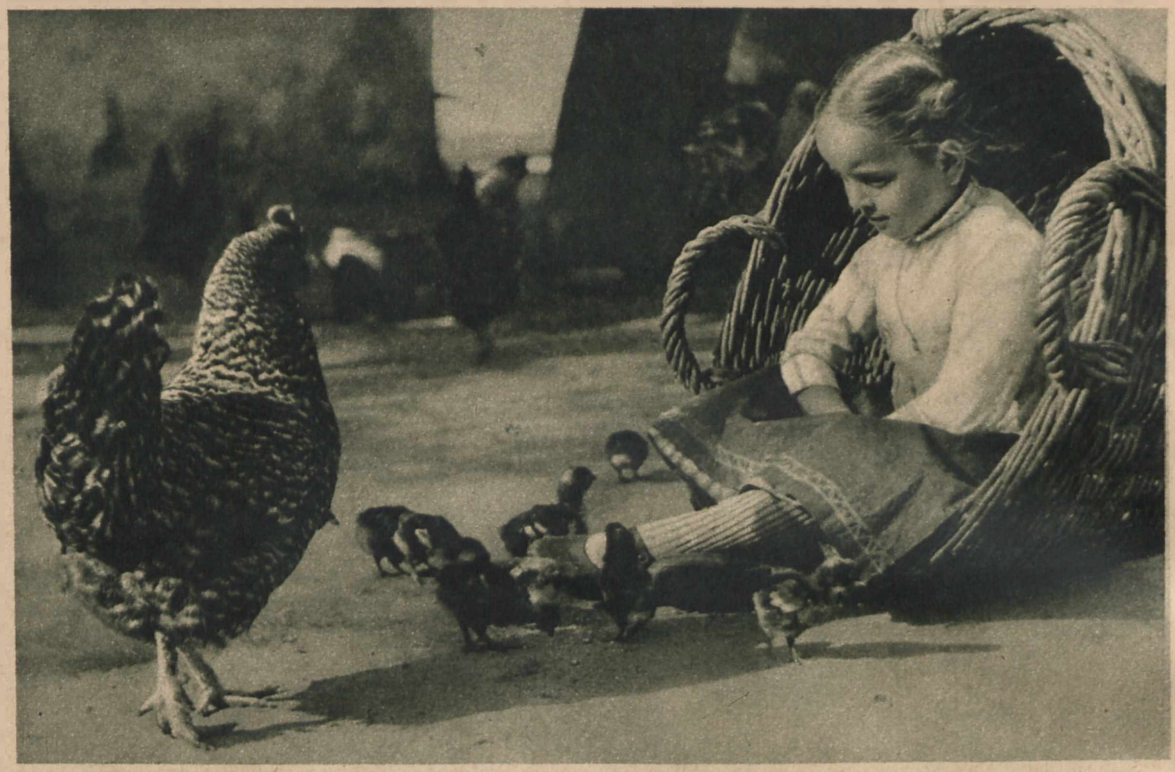

tworków zmieniają się w puszyste, śliczne kurki.

— Pi, pi, pi! — piszczą. — Każdy z nas to zuch i chwat! Puść nas, mamo, puść nas w świat!

Pierwszy wyskoczył z gniazda żółty kogucik. Stanął na szeroko rozstawionych nożynach. Podniósł okrągły łebek. Chciał pewnie zapiać, jak dorosły kogut, ale tylko pisnął:

— Pi, pi, pi!

Usłyszała to Basia.

— Oj, mamusiu! — woła. — Chodź tu prędko, tu do kątka! Wylęgły się już kurczątka!

Biegnie mamusia z koszykiem. Pozbierała do niego kurczątka i postawiła koło pieca. Za zimno jeszcze na dworze, by je wypuścić na podwórze.

Ale na Wielkanoc zrobiło się cieplej. Mamusia wypuściła mamę-kurę i jej dzieci na dwór. Wybiegła także Basia na podwórze.

Bęc, bęc!

Wpadła do kosza. Całe szczęście, że nie było już w nim kurczątek. Kosz wywrócił się, a Basia siadła w nim, jak piesek w budzie.

— Hau, hau! — woła na kurczątka. — Bądźcie grzeczne kurki me, bo was srogi piesek zje.

Ale kurczątka nie boją się Basi. Grzebią w piasku koło jej nóżek. A najodważniejszy jest żółty kogucik, którego mamusia podarowała Basi. Zresztą inne kurczęta nie są wcale żółte, tylko ciemne jak ich mama-kura. Ale na pewno są ładniejsze od Basinych pisanek.

Jadwiga Morska

DO ROBOTY PSZCZÓŁKI, DO ROBOTY!

Od rana już przygrzewa mocno wiosenne słońce. Ule starego Macieja, co stoją w sadzie, pod gruszą, omal się nie przewrócą, tak w nich brzęczą pszczoły, tak się rozpierają, tak się wszystkie naraz tłoczą do wyjścia, aby prędzej do słoneczka, aby szybciej znaleźć się w otworze ula.

Do słońca, do słońca!

Pszczelarz Maciej, już odetkał wszystkie szczeliny, co je mchem pozatykał na zimę, żeby pszczoły nie pomarzły.

— Do roboty, do roboty! — woła królowa-matka. — Śpieszcie się, zjadłyśmy prawie cały zapas miodu przez zimę, trzeba szykować nowe pożywienie.

Gromadka najmłodszych pszczółek skupia się w najdalszym kąciku ula i lękliwie trzepocze skrzydełkami.

— Szybko, szybko, czegóż się ociągacie? Udajecie leniuszków?

— O matko, boimy się bardzo.

— Czego się boicie?

— Boimy się sikorek, żeby nas nie schwytały, tak jak to zrobiły w zimie.

— Nie obawiajcie się sikorek. Sikorki nie będą już was napadać. Owadów jest już bardzo wiele w powietrzu i na ziemi. Starczy dla wszystkich ptaków — uspakaja matka.

Bzz... bzz... bzz...

I już się pszczółki nie obawiają. Wylatują radośnie z ula. Czują w powietrzu zapach świeżej ziemi i słodki, miodny zapach kwiatów.

Mają już przygotowane maleńkie koszyczki na pyłek kwiatowy, przyczepione do tylnych nóżek.

Bzz... bzzz... bzzz... Słychać je z daleka.

Mała pszczółka przysuwa się w locie do najbliższej towarzyszki i trąca ją lekko skrzydełkiem.

— Powiedz, dlaczego bałaś się sikorek, bo ja nie wiem, byłam jeszcze bardzo mała w zimie? Nie wiem, co się stało?

Bzz... bzzz... bzzz...

— Nie mam czasu... Widzisz, jaki piękny, złoty krzak... Ani jednego listka na nim nie ma, tylko same złote kwiatki. Lećmy do niego!

Bzz... bzzz... bzzz...

I pszczółki poleciały w stronę złotego krzaku.

A że pszczółka naprawdę nie miała czasu opowiedzieć, jak to było z sikorkami, wyręczę ją i opowiem, czego się pszczółki tak bardzo bały.

Pewnego ranka silny mróz zbudził sikorki. Biedne ptaszyny były nie tylko zmarznięte, ale i bardzo głodne.

— Skąd tu dostać coś do zjedzenia? Żadnego robaczka, żadnego owada, ani nawet choćby muszki nie widać nigdzie — zaświergotały żałosnym głosem. — Chyba przyjdzie umrzeć z głodu!

Wtedy jedna z nich, sprytniejsza sikorka, powiedziała:

— Nie martwcie się, znajdziemy coś może. Lećcie za mną!

Przyleciały sikorki do sadu, gdzie pod gruszą stały ule opatulone mchem i słomą i zapukały dziobkami w daszek ula.

Pszczółki myślały, że to wiosna budzi je, woła do słońca i wylatywały jedna za drugą, a sikorki je chwytały i zjadały.

W ten sposób sporo pszczółek zginęło w żarłocznych gardziołkach sikorek.

Zobaczył to Maciej i bardzo się rozgniewał.

Zrobił szkaradnego stracha, chwiejącego się za każdym podmuchem wiatru i umieścił go na daszku ula.

Sikorki przestraszyły się i uciekły daleko, może do dobrych dzieci, które je karmiły do końca zimy.

R. Zawistowska

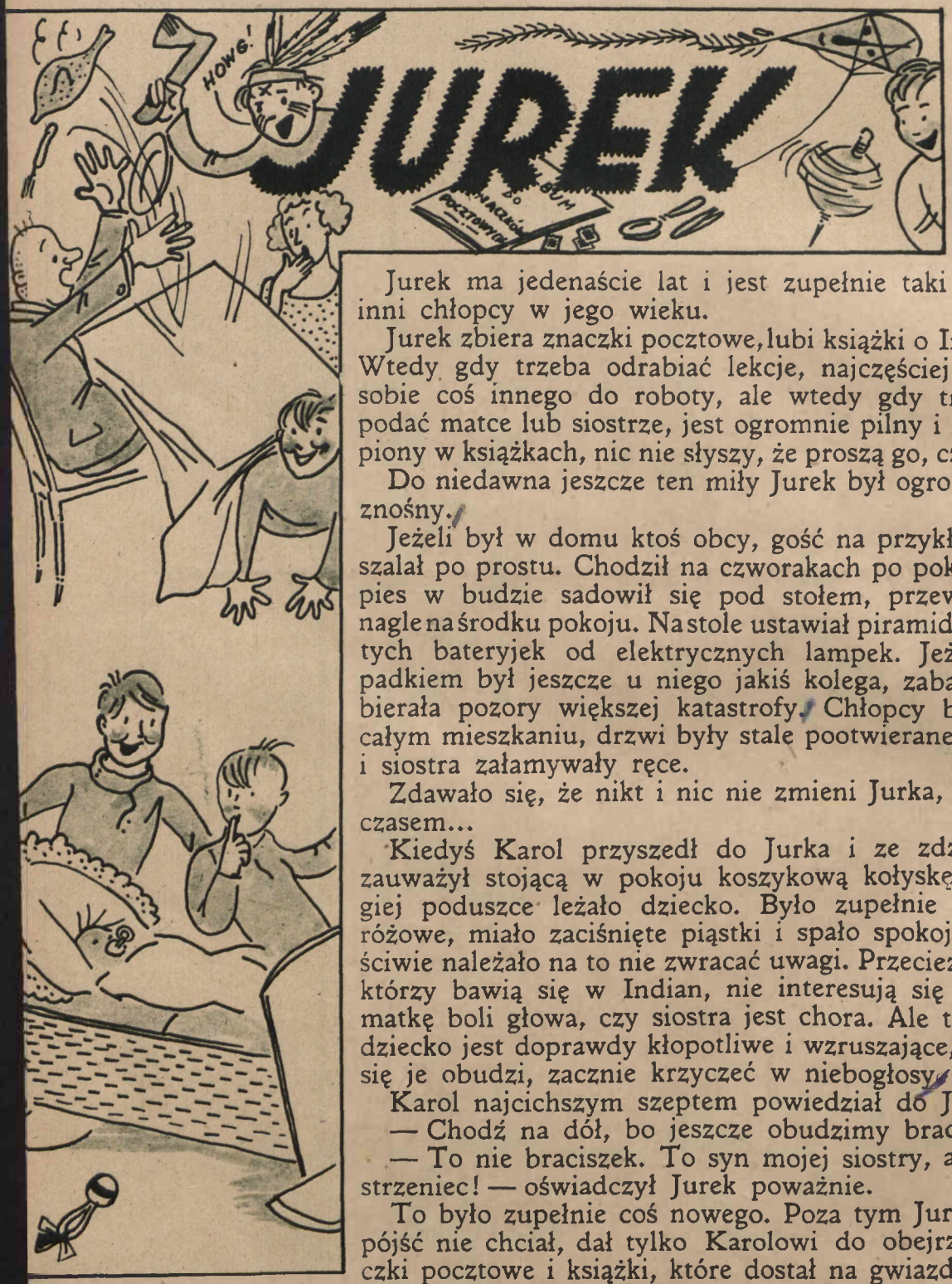

Jurek ma jedenaście lat i jest zupełnie taki sam, jak inni chłopcy w jego wieku.

Jurek zbiera znaczki pocztowe, lubi książki o Indianach. Wtedy gdy trzeba odrabiać lekcje, najczęściej znajduje sobie coś innego do roboty, ale wtedy gdy trzeba coś podać matce lub siostrze, jest ogromnie pilny i cały zatopiony w książkach, nic nie słyszy, że proszą go, czy wołają.

Do niedawna jeszcze ten miły Jurek był ogromnie nieznośny.

Jeżeli był w domu ktoś obcy, gość na przykład, Jurek szalał po prostu. Chodził na czworakach po pokoju, niby pies w budzie sadowił się pod stołem, przewracał się nagle na środku pokoju. Na stole ustawiał piramidy ze zużytych bateryjek od elektrycznych lampek. Jeżeli przypadkiem był jeszcze u niego jakiś kolega, zabawa przybierała pozory większej katastrofy. Chłopcy biegali po całym mieszkaniu, drzwi były stale pootwierane, a matka i siostra załamywały ręce.

Zdawało się, że nikt i nic nie zmieni Jurka, gdy tymczasem...

Kiedyś Karol przyszedł do Jurka i ze zdziwieniem zauważył stojącą w pokoju koszykową kołyskę. W długiej poduszce leżało dziecko. Było zupełnie malutkie, różowe, miało zaciśnięte piąstki i spało spokojnie. Właściwie należało na to nie zwracać uwagi. Przecież chłopcy, którzy bawią się w Indian, nie interesują się tym, czy matkę boli głowa, czy siostra jest chora. Ale takie małe dziecko jest doprawdy kłopotliwe i wzruszające, bo jeżeli się je obudzi, zacznie krzyczeć w niebogłosy.

Karol najcichszym szeptem powiedział do Jurka:

— Chodź na dół, bo jeszcze obudzimy braciszka.

— To nie braciszek. To syn mojej siostry, a mój siostrzeniec! — oświadczył Jurek poważnie.

To było zupełnie coś nowego. Poza tym Jurek na dół pójść nie chciał, dał tylko Karolowi do obejrzenia znaczki pocztowe i książki, które dostał na gwiazdkę, a gdy matka poprosiła obu chłopców na podwieczorek, Jurek

PANI OSTROKOLCOWA

Wszędzie czuć było wiosnę.

Śnieg zniknął już zupełnie i słonko mocno grzało. Ciepły wietrzyk latał od drzewa do drzewa, chuchał na pąki, nucił o wiosence i leciał dalej.

Wiosna! Hej, przyszła nareszcie.

Pani Ostrokolcowa, jeżowa, zbudziła się z zimowego odrętwienia. Otrząsnęła z kolców suche liście, którymi wysłała na zimę mieszkanko i ruszyła ku wyjściu. Było ono mocno zatarasowane gałązkami i mchem. Jeżowa długo pracowała nad ich usunięciem. Po zimie była słaba i chuda. Wszystek tłuszcz uzyskany późną jesienią utraciła. Gdy w końcu znalazła się na zewnątrz, oślepiło ją jasne słońce. Zawróciła też czym prędzej do norki, czekając aż zapadnie noc, pora jej polowania.

— Ach, jaka jestem głodna! — westchnęła. — Nie pogardziłabym teraz najlichszą glisteczką...

Gdy nareszcie wylazła po raz wtóry, było już ciemno. Zaczęła się wolno posuwać naprzód węsząc dookoła. Wnet napotkała parę ślimaków i owadów. Pożarła je z wielkim apetytem.

— Mam już przekąskę w żołądku — mruknęła — teraz zdałoby się co najmniej kilka myszy. A no, ruszajmy dalej.

Szczęście jej sprzyjało. Zaraz za leśną ścieżką napotkała mysią norkę. Obok kręciła się mała myszka, którą jeżowa porwała ostrymi, szpiczastymi zębami. Schrupała ją szybko. Potem zagłębiła jeszcze swój ryjkowaty pyszczek w norce, lecz nic nie znalazłszy, poczłapała dalej.

Jeżowa Ostrokolcowa polowała przez całą noc. Nad ranem wróciła do domu i smacznie usnęła. Odtąd co wieczór wychodziła na łowy, a za dnia spała.

Pewnego razu urodziła się pani Ostrokolcowej trzy malutkie jeżątka. Ssały łakomie mleko matki, a gdy troszkę podrosły, wyszły z norki na świeże powietrze.

— Pobawmy się troszkę — powiedziało najstarsze jeżątko. — Kto ładniej zwinie się w kulkę, albo kto najdłużej potrafi ryć dziurę.

A mama Ostrokolcowa dodała:

— Bądźcie tylko grzeczne, moje dzieci. I nie oddalajcie się od mieszkania. Pójdę poszukać dla was parę delikatnych robaków. Jesteście już duże. Nie wystarczy wam teraz tylko moje mleko. Ostroryjku! Uważaj na Pikotkę i Szpileczkę.

— Dobrze mamusiu, tylko wracaj szybko.

Pani Ostrokolcowa podreptała w kierunku zarośli, trzymając nos przy ziemi. Uszła już spory kawałek, ale oprócz dwu ślimaków nic innego nie znalazła. Połknęła je i poszła dalej. Wtem usłyszała groźny syk.

— Wąż — pomyślała. — Dobrze, że go spotykam.

Nie wiele czekając podeszła ostrożnie w stronę syczącej żmii i obwąchawszy ją wprzód, wbiła swe ostre zęby w jej kark. Zaczęła się straszna walka. Żmija rzucała się jak szalona, lecz jeżykowa tak długo gryzła, aż głowa żmii odpadła.

Teraz zaczęła się prawdziwa uczta. Pani Ostrokolcowa zaczęła jeść. Mlaskała przy tym językiem, zgrzytała zębami, aż nasycona zupełnie porzuciła resztki i skierowała się w stronę domu. Po drodze upolowała parę glist i zaniosła je dzieciom. Ostroryjek, Pikotka i Szpileczka zajadały te przysmaki z wielką ochotą.

— Jak jeszcze trochę podrośnie-

cie — rzekła matka — przyniosę wam mysz. Teraz byłaby dla was za twarda. Gdy skończycie jeść, przyjdźcie do norki.

Po chwili wszyscy byli razem. Mama opowiedziała dzieciom o walce ze żmiją.

— A nie bałaś się, mamusiu, podchodzić do niej tak blisko? — zapytała Pikotka.

— Nie. Przecież bronią nas kolce, o które nieprzyjaciele nasi dotkliwie się kłują. Ale nie na każdego możemy się rzucać. Nie z każdym możemy walczyć. Gdy spotka nas wilk, lis lub inny duży zwierz, najlepiej zwinąć się w kłębek i czekać, aż odejdzie. Nie wolno wtedy wystawiać ani łapek, ani ryjka.

Długo opowiadała pani jeżowa swoje przygody jeżątkom. Tak długo, aż w końcu wszystkie usnęły.

Aldona Pieterowa.

Zmartwychwstał Syn Boży

Był cichy poranek,
Płonął blaskiem zorzy,
Świat budził z uśpienia:
— Zmartwychwstał Syn Boży!...

Szedł Pan Jezus ścieżką
Przez gaiczek dziki.
Czarowną go piosenką
Witały słowiki.

Szedł Pan Jezus borem,
Bór promieniał cały.
Do stóp mu z pokorą
Listeczki padały.

Szedł Pan Jezus miedzą
Ku niziutkim strzechom.
Witały go wróble
Z największą uciechą.

Uśmiecha się Jezus,
Szepce cichym głosem:
— Ziemio, moja ziemio,
Pokój tobie niosę!...

zamknął za sobą drzwi najciszej, jak umiał. Przy stole mówił cicho i w ogóle zachowywał się tak, że go Karol nie mógł poznać.

Na drugi dzień Karol próbował żartować sobie na ten temat. Ale po Jurku wszystkie docinki spływały jak woda i tylko wychodząc z klasy powiedział niby do siebie, ale tak, aby go wszyscy chłopcy słyszeli:

— Jeśli kto chce mnie odwiedzić, to musi pamiętać, że tam gdzie jest małe dziecko, trzeba zachowywać się zupełnie inaczej!

Myliłby się ktoś, gdyby sądził, że Jurek od razu spoważniał i zapomniał o zabawie. Nic podobnego! Kiedy jeździł na rowerze po podwórzu wydawał dzikie okrzyki wojujących Indian, w szkole brał czynny udział we wszystkich zabawach kolegów, tylko w domu zmienił się do niepoznania.

Na zupełnie bez sensu pytanie jednej pani, co było powodem tej zmiany i dlaczego przedtem był taki niegrzeczny, odpowiedział z politowaniem:

— Przecież chyba to każdy rozumie, że dopóki nie było Jacusia, byłem jeszcze dzieckiem!

A mały Jacuś spał sobie spokojnie i nic o tym nie wiedział, że z jego powodu jedenastoletni wuj musiał przestać być dzieckiem i stać się dorosłym człowiekiem.

Krystyna Chruścielska

MIASTO DOBRYCH LUDZI

Jest podobno na świecie takie miasto, w którym mieszkają sami dobrzy ludzie. W mieście tym nie ma biednych i nieszczęśliwych, nikt się z nikim nie kłóci i nikt nikomu nie robi na złość. Wszystkie dzieci są wesołe, uśmiechnięte i mają dużo ładnych zabawek, a dorośli zawsze pomagają sobie i śpiewają przy pracy. Doprawdy, jeżeli takie miasto istnieje na świecie, to przyjemnie musi być w nim mieszkać, przyznacie chyba sami.

Gdy Krysia była mała, wierzyła niezachwianie w istnienie miasta dobrych ludzi. Mamusia opowiadała jej raz o sierotce Kasieńce, która zawędrowała do tego miasta i została jego królową. Od tego czasu Krysia marzyła ciągle o tym, by pojechać też kiedyś do miasta dobrych ludzi, gdzie wszystkie dzieci są miłe i wesołe i nie kłócą się przy zabawie. Później, gdy Krysia była starsza, zrozumiała, że miasto dobrych ludzi istnieje tylko w bajce. Ale w głębi serduszka żywiła ciągle nadzieję, że może jednak gdzieś na świecie jest takie miasto i trzeba tylko dobrze poszukać na mapie, a potem kupić bilet kolejowy i pojechać. Zdarzyło się tak kiedyś, że opowiadała o mieście dobrych ludzi Basi, swojej koleżance szkolnej i przyjaciółce „od serca".

— I naprawdę chciałabyś tam pojechać? — zapytała zdumiona Basia. — Bo ja nie! Nie potrafiłabym być taką zupełnie dobrą. Zaraz bym się z kimś pokłóciła.

— Ja też nie jestem taka zupełnie dobra — przyznała się Krysia. — Ale myślę, że w mieście dobrych ludzi każdy musi być dobry, czy chce, czy nie.

Basia pokiwała głową.

— Zdaje mi się, Krysiu, że każdy może być dobry tylko wtedy, kiedy chce.

— Tak, tylko nie zawsze każdy jest dobry, kiedy chce — westchnęła Krysia. — Ja bardzo chciałabym być dobra, a tymczasem nie potrafię.

Basia roześmiała się i na tym skończyła się rozmowa o mieście dobrych ludzi. Przyjaciółki pożegnały się i Krysia poszła do domu.

Obiad nie smakował jej jakoś, bolała ją głowa, a przy odrabianiu lekcyj omal nie zasnęła. Wieczorem okazało się, że Krysia ma gorączkę. Nic więc dziwnego, że tak kaprysiła przy obiedzie. Pewnie przeziębiła się po drodze ze szkoły, kiedy przed dwoma dniami zerwał się taki ostry wiatr. Trzeba było pójść do łóżka i to na kilka dni. A Krysia bardzo nie lubiła leżeć w łóżku.

Pierwszego dnia było jeszcze jako tako: Krysia czytała książkę, pocerowała pończochy i porozmawiała z mamusią. Ale na drugi dzień zdawało jej się, że już nie wyleży. A ta gorączka, jak na złość nie chciała opadać i lekarz kazał jej leżeć cały tydzień. Krysia nudziła się, grymasiła, wołała ciągle do siebie mamusię, ale nic nie pomogło. Musiała leżeć i już. Więc z tej rozpaczy zaczęła wyobrażać sobie, że dobra wróżka przeniosła ją razem z łóżkiem do miasta dobrych ludzi. Wszystko było niby tak, jak zawsze: krzesła, stół, szafa i drzewa za oknem, ale wszystko było jakieś jaśniejsze i weselsze. I Krysia sama poweselała, bo przecież nie można być smutnym w mie-

ście dobrych ludzi. Podniosła porzuconą książkę i zaczęła ją przeglądać. I książka się zmieniła; obrazki stały się bardziej kolorowe, a treść zajmująca. Krysia sama nie spostrzegła, jak zaczęła czytać.

— Krysiu, nie potrzeba ci czegoś, kochanie? — zapytała mamusia, zaglądając do pokoju.

— Nie, dziękuję, mamusiu — odparła Krysia grzecznie i wesoło. Była przecież w mieście dobrych ludzi, więc musiała być dobra, czy chciała, czy nie.

Mamusia uśmiechnęła się i wróciła do kuchni, a Krysi zrobiło się bardzo lekko na sercu od tego mamusinego uśmiechu.

Dzień minął bardzo prędko, a i ten cały tydzień leżenia w łóżku nie okazał się znów taki straszny. Przez cały czas choroby Krysia przebywała w mieście dobrych ludzi. Nie kaprysiła, uśmiechała się do wszystkich i ze wszystkiego była zadowolona. Robiła to po prostu dlatego, że musiała być przecież dobra, czy chciała, czy nie.

Po tygodniu wreszcie wolno było Krysi wstać, najpierw na pół dnia, a wreszcie trzeciego dnia poszła do szkoły. Trzeba przyznać, że Krysia nie była z tego zadowolona. Przyzwyczaiła się już do przebywania w mieście dobrych ludzi i wcale nie tęskniła za powrotem do poprzedniego życia. Łatwo jej było sobie wyobrazić miasto dobrych ludzi w domu, gdzie wszystko zaraz stawało się jaśniejsze i ładniejsze. Ale co będzie kiedy wyjdzie na ulicę?

Krysia stała długo przed zamkniętą bramą nim zdecydowała się ująć za klamkę. Ale gdy otworzyła drzwi, stanęła znów, radośnie zdumiona. Na dworze świeciło słońce, ptaki śpiewały, domy były jasne i wesołe. Całkiem dobrze można sobie było wyobrazić, że jest się w mieście dobrych ludzi. Przed bramą stary dozorca domu, postrach dzieci z całej kamienicy, zamiatał ulicę wielką miotłą. Zwykle Krysia omijała go z daleka, ale dzisiaj była przecież w mieście dobrych ludzi, więc podeszła, uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

— Dzień dobry panu! Szczęść Boże w pracy!

Stróż obejrzał się zdziwiony, uśmiechnął się i odparł:

— Dzień dobry, Krysiu! Szczęść Boże w nauce!

— Teraz gotowam uwierzyć, że jestem naprawdę w mieście dobrych ludzi — pomyślała Krysia, — jeżeli nawet nasz dozorca się do mnie uśmiecha.

I poszła dalej. Na rogu spotkała starą kobiecinę, dźwigającą wielką walizę.

— Och, proszę pani! — zawołała Krysia. — Jak pani to może udźwignąć!? Proszę mi dać tę walizę, poniosę ją pani.

— Ależ dziecko, spóźnisz się do szkoły — zaprotestowała staruszka.

— O nie, mam jeszcze dużo czasu —rzekła wesoło Krysia, odbierając od niej walizkę.

Po drodze dowiedziała się, że staruszka przyjechała do miasta do syna, który jest dorożkarzem i mieszka niedaleko. Pewnie jeszcze nie otrzymał jej listu, zapowiadającego przyjazd, bo nie wyjechał po nią na stację. Tak gawędząc, doszły do domu, w którym mieszkał syn staruszki. Wyjeżdżał on właśnie dorożką na miasto, więc tylko powitał serdecznie matkę i oddał pod opiekę żonie, a sam wrócił do koni.

— Siadaj ze mną, panienko — powiedział z uśmiechem do Krysi. — Podwiozę cię do szkoły.

Czy nie było to zupełnie, jak w mieście dobrych ludzi? Krysia siedziała na koźle, dorożka bardzo przyjemnie podskakiwała po bruku, a syn staruszki przez całą drogę opowiadał jej o koniach.

W szkole też było jakoś inaczej. Koleżanki powitały Krysię z radością, klasa była duża i jasna. Krysia uważała pilnie na wszystkich lekcjach, co jej się dotychczas bardzo rzadko zdarzało i stwierdziła ze zdziwieniem, że nauka w mieście dobrych ludzi wcale nie jest trudna.

Najgorzej było wtedy, kiedy Zosia wylała Krysi atrament na zeszyt, zresztą zupełnie przypadkowo. Nie wiele brakło, a Krysia byłaby się rozgniewała. Na szczęście przypomniała sobie, że jest w mieście dobrych ludzi, więc uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

— Trudno! Nie szkodzi, Zosiu, tylko okładka się splamiła. Nieszczęście się nie stało. Nie martw się!

I Zosia uśmiechnęła się.

Tak to już było w tym mieście dobrych ludzi: czy ktoś chciał, czy nie, musiał się uśmiechać i być dobrym.

Ale muszę wam powiedzieć w sekrecie, że Krysia nie zawsze jest w mieście dobrych ludzi. Czasem wychodzi z niego na chwilę, rozgniewa się, albo pokłóci z koleżankami. Ale zawsze wraca z powrotem. Podobno namówiła nawet Basię, żeby zamieszkała z nią w mieście dobrych ludzi. A jest to wesołe miasto i miło w nim mieszkać, wierzcie mi.

Jadwiga Morska

NA TROPACH PRZYRODY.

PAŹ KRÓLOWEJ

Mały Jaś ma dopiero dziewięć lat i chodzi do trzeciej klasy, ale już żywo interesuje się przyrodą. Lubi oglądać książki z obrazkami zwierząt i roślin. Często chodzi z mamusią i młodszą siostrzyczką Basią na spacery do parku. Tam przypatruje się różnobarwnym kwiatkom i małym ptaszkom kołyszącym się na gałązkach drzew. Zadaje mamusi tysiące pytań, na które mamusia nie zawsze umie odpowiedzieć.

Ale już najbardziej interesują Jasia motyle. Nie może napatrzyć się ich ślicznym, jaskrawym barwom i zwinnym, prędkim ruchom.

Nadchodzą imieniny Jasia. Rodzice zastanawiają się, jaką by w tym dniu sprawić mu przyjemność. Tatuś radzi kupić Jasiowi ładną książeczkę i zaprowadzić go do muzeum przyrodniczego.

Dzień 24 czerwca jest dla chłopczyka dniem radości. Rano znajduje na stoliku przy łóżku śliczną książkę o ptaszkach z kolorowymi obrazkami, a później idzie z tatusiem do muzeum. Chodzi z sali do sali z podziwem ogląda przeróżne zwierzęta i ptaszki. W środku jednej z sal znajduje się wielki stół, na którym są ustawione oszklone pudła z dużymi i małymi motylami nabitymi na szpilki. Tatuś musi podsadzić Jasia, aby mógł lepiej zobaczyć te cuda.

„Jakie one śliczne, te motyle!" — woła z zachwytem chłopczyk, — „Ale w jaki sposób zabija się je, zanim zostaną umieszczone w pudełku. Przecież żywych nie można przekłuwać szpilkami!"

„Są na to różne sposoby" — objaśnia tatuś, „tak że można szybko i bez bólu uśpić i przekłuć owady, alr trzeba to robić bardzo umiejętnie".

Po wyjściu z muzeum przyrodniczego mały Jaś był zachwycony. Cały wieczór opowiadał mamusi i małej Basi o ślicznych motylkach i innych zwierzętach, które tam widział.

o O o

Mija parę tygodni. Rodzice Jasia wybierają się na wieś na wakacje. Dzieci śmieją się i skaczą z radością. Już spakowane walizki i kufer. Jaś również pakuje swe książeczki i zabawki do małego pudełka, nie zapominając oczywiście o siatce na motyle.

Wreszcie rodzice z Jasiem i małą Basią udają się na dworzec. Już są w pociągu. Przez cały czas podróży dzieci stoją przy oknie wagonu i przypatrują się krajobrazowi. Niebawem przybywają do celu. Jeszcze parę kilometrów końmi i oto są na miejscu.

Jakże tu ślicznie! Przed domem znajduje się duży ogród kwiatowy. Z tyłu za domem są grządki z jarzynami. Z okna widać pola, las i płynącą koło pagórka rzekę. Już nazajutrz dzieci zadomowiły się w nowym miejscu pobytu doskonale. Chodzą na dalekie spacery, na których Jaś bardzo pilnie obserwuje motyle. Na polnych kwiatkach jest ich całe mnóstwo.

— Co to za motyl, który siadł w tej chwili na tym żółtym kwiatku? — pyta mamusi.

— To cytrynek.

— A ten, co leci ponad tym krzaczkiem?

— To paź królowej. Przypatrz się, jakie ma śliczne skrzydełka — odpowiada mamusia.

Jasiowi podoba się najbardziej paź królowej, chwyta go więc do siatki i z radością podbiega do mamusi, aby pokazać jej swą zdobycz.

— Cóż ty Jasiu myślisz z tym motylkiem zrobić? Chyba nie będziesz go zabijał. Jesteś jeszcze za mały na to, aby robić zbiory motyli, na razie obserwuj tylko ich życie — mówi mama.

— Ale tego jednego chciałbym koniecznie mieć w domu, aby mu się dobrze przyjrzeć — prosi chłopczyk.

Tatuś godzi się na to i pomaga synkowi umieścić żywego pazia królowej w dość dużym pudełku, które ma jedną ściankę z drucianej siatki i wygląda jak klatka. Jaś złapał jeszcze kilka motyli i umieszcza je w klatce.

W domu przypatrzywszy się motylkom, kolejno wypuszcza je z klatki na wolność, zatrzymuje tylko pazia królowej, gdyż ten podoba mu się najwięcej.

Po południu Jaś korzystając z tego, że rodzice poszli się przespać, a Basia bawi się w ogródku z dziećmi gospodarzy, zamyka się w pokoju. Z szafki, w której mamusia przechowuje różne przybory toaletowe i lekarstwa, wyjmuje buteleczkę z benzyną i kawałek waty. Watę napaja benzyną, wkłada ją do klatki, aby uśpić owada. Aby zaś benzyna nie ulotniła się w powietrze, owija klatkę z motylkiem papierem. Po godzinie odwija pudełko i przekonywa się, że motyl jest martwy.

Teraz Jasiowi robi się żal ślicznego motylka, zaczyna cichutko płakać. Ale wkrótce przypomina sobie, że jest mężczyzną, więc

opanowawszy swój żal, zabiera się do dalszej pracy. Delikatnie, aby nie uszkodzić delikatnych skrzydełek, wyjmuje pazia królowej z klatki, nabija go na szpilkę i umieszcza w pudełku po tutkach, aby później po powrocie z wakacji do miasta rozpiąć mu skrzydełka tak, jak to widział w muzeum przyrodniczym. Spodziewa się, że mu w tym pomoże jego stryj przyrodnik. Uprzątnąwszy wszystko stawia Jaś pudełko z motylkiem na oknie i wymyka się do ogrodu, gdzie bawi się Basia.

Wieczorem raz jeszcze przygląda się paziowi królowej.

Na drugi dzień, gdy tylko wstał, biegnie znów do swego motyla, aby mu się przypatrzeć Lecz gdy tylko spojrzał, z żalu i przerażenia wybucha głośnym płaczem: oto motylek szamoce się na szpilce i rozpaczliwie trzepoce skrzydełkami.

Do pokoju wchodzi tatuś, słysząc płacz synka.

— Tatusiu, tatusiu, co ja zrobiłem — woła chłopczyk, tuląc się z płaczem do ojca. — Ale przecież, gdy wyjmowałem go z klateczki, był całkiem martwy — i w krótkich słowach opowiada ojcu historię uśpienia motylka.

— Widzisz, synku — mówi tatuś, twój motyl leżał na otwartym oknie na świeżym powietrzu i dlatego pewnie w nocy ocucił się i teraz tak bardzo cierpi. —

— Ale co teraz z nim zrobić? — pyta z rozpaczą Jaś.

— Nic nie zrobimy, patrz, on już kona. —

Rzeczywiście motylek poruszył jeszcze parę razy wolno skrzydełkami i znieruchomiał.

Przez cały dzień Jaś był niepocieszony, ale postanowił sobie raz na zawsze ograniczyć się tylko do obserwowania życia owadów i nigdy już nie próbować ich zabijać. Chyba gdy będzie już tak duży i mądry jak jego stryj przyrodnik, który pracuje dla nauki.

J. K.

Poza wioską, ponad wodą
stare wierzby gwary wiodą,
wiodą szepty i rozmowy
o niedzieli, o kwietniowej.

— Niechno tylko — prawią wzajem —
błyśnie dzionek nad ruczajem,
a z osiedli i opłotków
przyjdą chłopcy, narwą kotków
i z bazieczek palmy splotą
pod tą jasną zorzą złotą.

— A w Palmową tę niedzielę,
gdy się zbierze lud w kościele
i „Hosanna!" w krąg zadzwoni,
przed ołtarzem z wszystkich dłoni
cały las wyrośnie palem
tak, jak niegdyś w Jeruzalem.

Poza wioską, ponad wodą
stare wierzby gwary wiodą,
a słoneczko raz przy razie
całuje te srebrne bazie.

E. Kłoniecki

NA TROPACH PRZYRODY.

Jak zimują chrząszcze?

W piękny wieczór majowy pani Janka zabrała dzieci na przechadzkę.

Gdy usiedli w parku na ławce pod dużym dębem, uwagę dzieci zajęło jakieś brzęczenie. Okazało się, że przyczyną tego były całe roje chrabąszczy. Dzieci nie mogły się nadziwić,

dlaczego w tym roku jest ich aż tak wiele, a w innych w ogóle ich się nie spotyka.

— Mamusiu! — woła Józio — opowiedz nam, skąd się wzięły te chrabąszcze i co one robią przez zimę, gdzie mają swoje kryjówki?

— Chcecie moje dzieci, żebym się zabawiła w nauczycielkę. Dobrze, opowiem wam trochę szczegółów z życia tego ładnego, a znanego ze swej szkodliwości owada.

— Przed czterema laty także w maju samiczki chrabąszczy złożyły w pulchnej ziemi jajeczka. Przy końcu czerwca albo z początkiem lipca wylęgły się z nich małe gąsieniczki, które rolnicy nazywają pędrakami. Pędraczki początkowo żywiły się zbutwiałymi resztkami roślin i zwierząt, a następnie, gdy pod jesień na polach zaczęły kiełkować zasiane zboża, z wielkim smakiem objadają ich małe korzonki. Ogryzają także korzonki małych drzewek leśnych w tzw. szkółkach. Przez to wyrządzają nieraz znaczne szkody rolnikom i leśnikom.

— A to niepoczciwcy — zawołał Jaś — ale zimą na pewno wyginęły wszystkie!

— Otóż nie, Jasiu. Z nastaniem mrozów pędraczki wkopały się głębiej w ziemię i ułożyły się do snu zimowego. Dopiero z wiosną budzą się i znowu wędrują bliżej pod powierzchnię ziemi, aby teraz ze znacznie większą siłą aniżeli ubiegłego roku zabrać się do objadania korzonków roślin.

Tak trwa przez całe dwa lata i początek trzeciego roku. Coraz większe pędraki są coraz większymi żarłokami i coraz większe wyrządzają szkody. Co roku w jesieni zagrzebują się głębiej do ziemi, aby przespać zimę i co roku na wiosnę budzą się, podchodzą ku powierzchni ziemi i niszczą korzenie roślin. Dorosły pędrak jest prawie dwa razy grubszy od mojego wskazującego palca i nieco dłuższy.

— Bardzo chciałbym obejrzeć tego szkodnika, mamusiu!

— Często się z nim spotykamy podczas wiosennej i jesiennej orki, synku. Przy sposobności kiedyś je wam pokażę. Wtedy też widzimy całe stada wron, kawek, gawronów i szpaków bijących się o tłuste pędraki chrabąszcza, wyorywane pługiem. Rolnicy są bardzo wdzięczni tym ptakom, bo pędraki są wielkimi szkodnikami, a są tak żarłoczne, iż się nawet wzajemnie pożerają.

— Ale co się z nimi dalej dzieje, z tymi których ptaki nie wyjedzą?

— Przy końcu trzeciego lata, synku, pędraki pozornie stają się nieruchome, przestają jeść, w końcu wygrzebują sobie w ziemi jamki, w których przemieniają się w poczwarki. Koło połowy września, lub później z tych poczwarek powstają owady takie jak te, które tu widzicie. Ponieważ w jesieni znajdują się one niegłęboko pod ziemią, toteż często przy podorywkach jesiennych można natrafić na dorosłe chrabąszcze. Skoro nastąpią pierwsze jesienne przymrozki chrabąszcze te zagrzebują się w głąb ziemi, gdzie spędzają zimę. Z wiosną czwartego roku opuszczają swoje dotychczasowe kryjówki, wygrzebują się z ziemi i obsiadają drzewa. Najwięcej lubią żerować na dębach, klonach i kasztanach, toteż lasy dębowe mają w chrabąszczach wielkiego wroga.

— Z tego co wam powiedziałam, wiecie już, że rozwój chrabąszcza trwa pełne trzy lata. Dlatego spotykamy chrabąszcze w dużych ilościach co cztery lata. Ostatni raz występowały chrabąszcze masowo w roku 1939, teraz więc należy się ich spodziewać z wiosną 1943 roku.

Dzieci poznały tajniki życia chrabąszcza, wpadły na pomysł, ażeby zorganizować wśród kolegów wyprawy mające na celu tępienie tego tak niewinnie wyglądającego, a w rzeczywistości tak groźnego owada. Matka objaśniła im, jak należy postępować, aby zebrane chrabąszcze zabijać bez narażenia ich na cierpienie.

I. R.

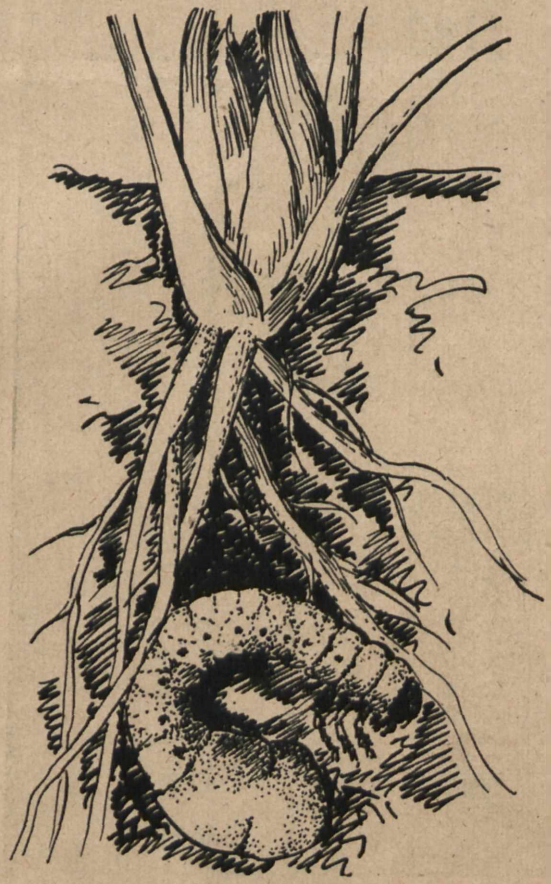

Pędrak wśród korzeni

Redaktor: dr Feliks Burdecki.
Adres Redakcji: Kraków Poststr. 1. Redakcja „Steru".
Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Universitätsstr. 19 a. Administracja „Steru", tel. 104-04.
Jeden nr „Steru" kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.
Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.
Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.